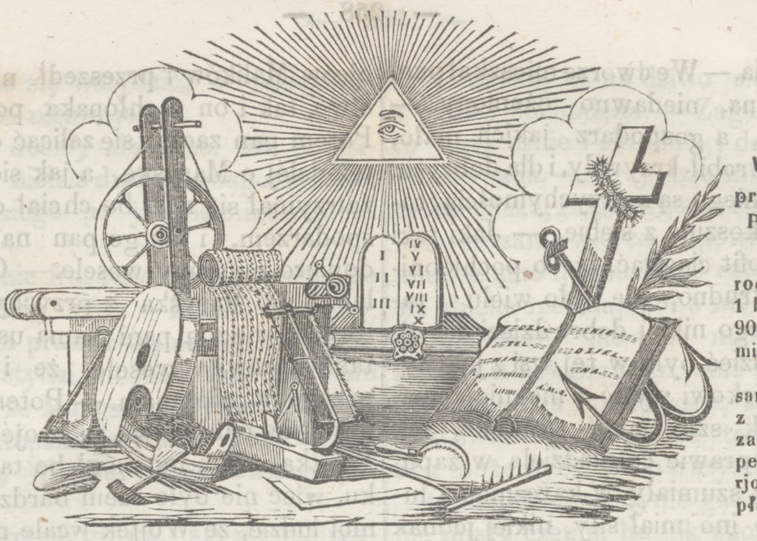
№ 33.
Warszawa
Dnia 5 (17) Sierpnia 1856.
Niedziela 14ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący, a litościwy Boże! który Twemi łaskami sprawujesz, iż wierni Twoi godnie i chwalebnie służyć Ci mogą, daj nam prosimy, abyśmy do otrzymania Twych obietnic bezprzestannie dążyli (Modlitwa kościelna na niedzielę 14 po Świątkach).

Pieśń w utrapieniu.

Chociaż mnie troski udręczają srogo,
Ja w Tobie całą mą ufność położę,
Wielki nasz, dobry i Wszechmocny Boże!
A Ty mnie jasną poprowadzisz drogą.
Spełnię w pokorze ten kielich goryczy,
Który podaje twa ojcowska ręka,
Ty wiesz, do czego służy moja męka,
Bo Twa Opatrzność, każdy dzień nasz liczy.
Lecz chwile płyną, i jutro zaświeci,
W jasnéj pogodzie promieniami słońca;
Los się uśmiechnie, a Ty nasz obrońca,
Udarzysz łaską wierne twoje dzieci.
Kazałeś chować miłość i nadzieję,
Jako zadatek lepszéj kiedyś doli,
Ufam o Panie! ufam Twojéj woli,
Niechaj się ze mną, co rozkażesz dzieje:
Minie ta pora boleściom oddana,
Przyjdzie godzina miłosierdzia Twego,
Litośnem okiem spojrzysz na grzesznego,
I Twa potęga skruszy moc szatana.
Wszystko Cię słucha, Ty burzliwe fale,
Ty grom piorunów Swoją trzymasz dłonią,
Tobie niebiosa pod stopy się kłonią,
Ty cichą ufność nagradzasz wspaniale!
Więc choć mnie troski udręczają srogo,
Ja chcę na Ciebie zdać o mnie staranie,
Z najgłębszéj toni Ty wydźwigniesz, Panie,
I jasną daléj poprowadzisz drogą!

Pogadanki starego rolnika.

IV.

— „Moi ludzie"—odezwał się Janek do zebranych u siebie gospodarzy — „muszę wam opowiedzieć jedno wydarzenie, co je sobie wypisałem; bo tak jakoś wszystko się złożyło, że znam i panów i chłopów, co w niem mieli sprawę.—Ino pamiętajta dobrze słuchać, bo to nie żadne zmyślenie, ale wszystko prawda, nikiéj na spowiedzi, boć z tego miejsca wczoraj dopiero wróciłem" — Tu Janek rozwinął duży szmat papieru, i włożywszy na nos okulary, bo człek był letni, więc trocha na oczy słabował, tak zaczął zwolna, ale głośno czytać.

We wsi Malikowie był piękny dwór, i ślicz-

czności zabudowania.— We dworze mieszkał pan, a nazywał się Kalina, niedawno ożeniony. — Dobry był to pan, a gospodarz jakich mało, ludziom nijakiéj nie robił krzywdy, i dla dobrych, co wiedział, że dla niego są z przychylnością, toby oddał ostatnią koszulę z siebie. — Jaki taki to umiał z tego profit ciągnąć, bo o pochlebników to nikaj nie trudno, ale było wielu i takich, co byli dla niego nikiéj dobre dzieci dla ojca. – To też posiedzieć było w téj wsi z jaki tydzień, to się człowiekowi wyjść z niéj nie chciało, bo wszystko tak szło jakoś składnie, tak pięknie, że chociaż prawie co niedziela w zapusty skrzypki i basy szumiały w karczmie, a ludowina wywijał, co ino miał siły, nikiéj jednak nie zobaczyłeś opitego, co to się nosem podpiera o ziemię, nikiéj nie dosłyszałeś żadnego pomstowania, żadnego wadzenia się, ino rozweselenie, że się ta znowu dożyło niedzieli, i że po pracy może człek spocząć. — Oj! ładno było w tym Malikowie, ale najładniéj między ludźmi, bo tak jakoś serdecznie, tak poczciwie i tak w jedności, że i między najlepszymi braćmi jużby lepiéj być nie mogło. —Bo jeżeli chłopi wiedzieli, że ze wszystkiem śmiało mogą się udać do dworu, to i dwór na pewne po wszystko jak wypadło posyłał na wieś, ale że łatwiéj obejść się dworowi bez chłopów, jak chłopom bez dworu, więc wszystkie oczy ino na dwór były obrócone.—Ale, moi ludzie, jeżeli starych oczy chodziły tam po interesie, albo gwoli poradzenia się, to młodych zupełnie po innéj przyczynie, a wiecie po jakiéj?

Oto była tam Maryśka, śliczności dziewucha, oczy jak tarki świeciły się, nikiéj gwiazdy, a jak się ścisnęła w pasie, to zdawało się, że ją biczem przetnie.— Była we dworze za kucharkę do czeladzi, nosiła się zawdy biało, czysto, i chędogo, i tak jakoś we wszystkiem było jéj przystojno, że nietylko młodzi rzucali za nią oczyma, ale i starzy z oskomą poglądali na Maryśkę, i niejeden w karczmie choć ze siwą głową, jak blisko niego stanęła, to przekręcił czapkę, ujął się w pasie ręką, i przytupnąwszy i chwyciwszy wpół dziewuchę, krzyknął ochotnie: hu! ha! — Gdzie więc ino obróciła się Maryśka, to i oczy ludzkie za nią, ale najbardziéj pilnował jéj Wojtek, parobek dworski, chłop piękny, nieladajaki, i w wielkich będący łaskach u państwa, bo z samym panem to się prawie wychował, i wszystko robił za panem; bo jak pan dostał od ojców Malików i przeszedł na swoje gospodarstwo, tak i on z chłopaka poszedł na parobka. Potem pan zaczął się zalicać o swoję żonę, i on też daléj o Maryśkę, a jak się pan ożenił, to on zatrzymał się rok, bo chciał duchem zostać gospodarzem, i jak go pan na roli obsadził, tak dopiero mieliśmy wesele.— Oj! hulali też hulali, a że Maryśka z przychylnością była dla dworu, więc ją pani sama ustroiła na głowie, i takie sprawiła wesele, że i kmiecia córka lepszegoby nie miała. — Potem wywianowała ją uczciwie, pan znowu ze swojéj strony zapomógł Wojtka, czem ino mógł, bo także był na dorobku, więc nie było czem bardzo rozrzucać; dosyć moi ludzie, że Wojtek wcale nieladajakim został gospodarzem, a że był człek dobry i nikomu nie wszedł w drogę, więc go lubili nietylko państwo, ale i cały ludowina we wsi z wielką był dla niego przychylnością.— W rok po weselu u państwa urodziła się córka, i w rok także Wojtkom dał Pan Bóg dziewuchę, a w kumy poszli państwo, i dziewusze na chrzcie świętym dano imię Marysia, jak matce.

I wszystko składało się po myśli Wojtkom, szykowało się im w każdéj rzeczy w gospodarstwie, ale na raz jeden pan zachorował, i tak niebezpiecznie, że już wszyscy myśleli, iż pewno zamrze. — Smutno było wtedy we wsi, o karczmie nikt nie pomyślał, bo każdy frasunek o pana nosił w sercu, a że bez gospodarza nad sobą trudno się ostać gromadzie, więc jakoś wypadło, że Wojtek poszedł do wojska.—Jak tam było potem, nie będę się nad tem rozgadywał, ale możecie miarkować, że turbacyi było co nie miara, a kiedy w rok potem Wojtkowę, ową smagłą Marysię dworską, Pan Bóg zabrał do swojéj chwały, poczciwi państwo wzięli jéj dziecko do siebie, i przyrzekli opiekować się jak własnem.—Żeby więc nie było żadnéj różnicy, sprawili takie same sukienki, jak własnéj, o rok starszéj córeczce, Anulce; postawili łóżeczka tuż przy sobie, i jedne im dawali jedzenie, jednę zabawę, jednę naukę i jedno we wszystkiem zachowanie. — Ludzie we wsi chwalili państwa, że taką litość okazali dla sieroty, ale byli i tacy, co to przyganiali, bo mówili:

—,, To wymysły niepotrzebne, chłopskie dziecko uczyć pańskich rzeczy. — Co mu potem?—Czy z Marysi będzie jaka Jaśnie pani?— Nabierze ino bez to dumności, i potem swego

pochodzenia będzie się wstydzić, a między panami zawdy będzie nieswoja.“

Jak takie gadki doszły do pana, tak umyślnie rozgadał się o nich z dwoma gospodarzami, co przyszli do niego po jakimsić interesie, i rzekł:

—„Moi ludzie, nie frasujcie się o Marysię, bo ja o niéj nie zapomnę nigdy.— Na naukę nie pożałuję, a że kto ma prawdziwą naukę, to się nigdy niczego nie wstydzi, ino źle robić, więc mam w Bogu nadzieję, że Marysia nigdy nie zabaczy, że wychodzi z chłopskiego stanu, i nie zaprze się, że jest córką Wojtka, mego dawnego parobka.“

Gospodarze pokręcili głową, ale nic nie rzekli, bo prostemu człekowi to trudno w gadce na równi iść z panem, ale zawdy jedno im w myśli pozostało, bo już to chłopski taki obyczaj, że co ino nie idzie podług dawności, to im straszniew drogę włazi, i zdaje się, że im to będzie z jaką przeszkodą. — Ale chłopi myśleli swoje, a pan robił swoje, a Marysia rosła, i co dzień stawała się i ładniejszą i podobniejszą do nieboszki matki. — Rozkoszna to też była dziecina, kieby przylepeczka, a panienka dworska Anulka, chociaż to było pańskie dziecko, równie urodą i zgrabnością ani się umywała do Marysi, bo zawdy była blada, i jakaś taka chuda, i nikła, że zdawało się, iż tam w niéj ani kości, ani mięsa niema.— Państwo musieli widać bardzo często rozgadywać się Marysi o ojcu, bo dziewczątko ile razy spotkało mnie, zaraz gadkę nawracało do ojca, kaj on teraz jest?— czy się z nim kiedy zobaczy?— czy mu dobrze?—czy żyje jeszcze?

Ja na to opowiadałem wszystko, jak wiedziałem jeszcze przed weselem Wojtka, i potem co się działo, a Marysia słuchała, uwiesiła mi się u szyi, ucałowała, i często gęsto tak mi się spłakała, że ledwo dziecinę utulić mogłem we łkaniu.

W miarę tego jak czasu przybywało, ludzie zabaczali o swoich przeciwnych gadkach na chowanie Marysi, a chociaż im bardziéj szła w lata, tém więcéj od innych wiejskich dzieci odróżniała się, bo i ubraniem i zachowaniem się i gadką, równie jednak cała wieś kochała ją, jakby własne dziecko, a gospodynie jak z nią gdzie na uboczu rozgadały się, bo z ochotą szła do każdéj, to potem odgadać się o niéj nie mogły o wszystko.

—„Moje kochaneczki, ta Marysia choć chłopskie dziecko, a na dziwo się udało, nikiéj by z panów pochodziła.— Zagada człek do tego, to i grzecznie i składnie i do rozumu odpowie, jak wypada.— Przyjdzie miemka do niéj, czy ta francuzka, zasz wargocze co po swojemu, juźcić Marysia zaraz wie, co odpowiedzieć, czy po miemiecku albo francuzku, a człek choć stary, choć się słucha nieladajako, a nic z ich gadki uchwycić nie może, ino taka matanina, co aż głowa boli.— A jak przytem umie ładno dziergać igłą, szyć, grać na *fortupjanie*, śpiewać, tańczyć, to aż dziwno się robi, zkąd ta w chłopskiem dziecku może być tyle do wszystkiego sposobności.“

Otóż tak gospodynie gadały, dziwiły się, ale nie miały czemu, bo jak zboża, abyś go miał, w każdy nasypiesz worek, czy zgrzebny, konopny lub lniany, tak i nauka w każdą wlazie głowę, aby ino człowiek miał ochotę do niéj i sposobność uczenia się.

Kiedy obie dziewczynki już dobrze wyuczyły się w domu, państwo obie wywieźli do miasta na pensyją, żeby już do reszty wyuczyły się, jak wypada.— Co też to wtedy było płaczu, co termedyi, to jakby koniec świata, bo jedyne dziecko wyprawiać z domu, oddawać w cudze ręce, i ta gdzieś het! daleko, dla rodziców musi być banie się, boć to równie rzecz nie bagatelna.— W dzień więc wyjazdu państwo zakupili piękne nabożeństwo, zaprosili na nie wszystkich ludzi, panienki obie, bo i Marysię już tak wszyscy ludzie nazywali, w białych sukienkach, nikiéj aniołki z wianuszkami wokół na głowach, wysłuchały klęczący przy ołtarzu nabożeństwa, potem je obie ksiądz Proboszcz pobłogosławił, pokropił wodą święconą, i kiedy obie dziewczątka padły rodzicom do nóg, bo obie jednako państwo nikiéj rodzone siostry nazywali, tak się popłakali, że i ludowinie łzy w oczach zaczęły się *krątwić*.— Potem Marysia wstała i poszła między gospodynie i gospodarzy, co znali się z jéj ojcami i z niemi zaczęła się *śratać*, późniéj z rowieśnicami, ale dziewuchy nie mogły się jakoś z nią ośmielić, i co ona którą chce w twarz pocałować, to juźcić ta schyla się Marysi do nóg, i łabas za rękę.— Po wyjeździe smutno się zrobiło we dworze i na wsi, bo Marysia i Anulka tak były jak ptaszki, co to tu, juźcić znowu gdzieindziéj, i tak zawdy.— Dlatego nie było chałupy, coby jéj nie znały, dziecka, coby go nie ugłaskały, a nawet bydlęcia, żeby nie wiedziały, czyje ono.— Kiedy od-

jeżdżały panienki, Marysia żegnając się zemną, prosiła mnie na wszystkie świętości, żebym się o jéj ojcu dowiadywał, i zaraz *bez* państwo doniósł, co gdzie posłyszałem, i dołożyła:

—„Mój Janie! zróbcie mi to, bo choć rodzice obiecali, ale równie wy tam prędzéj wejdziecie między wojskowych, to i prędzéj dowiecie się czego.— Co prawda mój Janie! Bóg aż nadto dobry, dla mnie biednéj sieroty, kiedy mi dał takich poczciwych rodziców, chociaż ino przybranych, ale równie radabym, i Bóg moim świadkiem, choć na godzinę przed śmiercią uściskać mego biednego, nieszczęśliwego ojca.“

—„Bogu ta wszystko zostawić, proszę panienki“— odrzekłem kłaniając się, bo i ja nie śmiałem jéj tak po prostu mówić: Marysiu.

—„Więc pamiętajcie mój Janie! o mojem proszeniu“— odrzekła na to—„a ja wam póki życia mego, zawsze będę wdzięczną.“

I to rzekłszy, objęła mnie rączkami za szyję i poczęła całować po głowie, czole, i że *hady* się jéj wykręcić nie mogłem.

I znowu zbiegło wiela lat, ja z Malikowa na piękne przeniosłem się do Marusic, i jak o Wojciechu, tak i o Marysi jego na piękne zapomniałem.— *Bez* ten czas, jak się późniéj dowiedziałem, państwo w Malikowie Pan Bóg ciężko dotknął, bo im zabrał jedyne ich dziecię, a chociaż lepiéj się stało, bo to biedctwo zawsze takie było biedne, jakby z trumny wyjęte, dla rodziców jednak grzebać dzieci, to wielki smutek.— Ale cóż robić?— Wola Boska!

Po śmierci Anulki państwo wszystko kochanie z córki przenieśli na Marysię, i tak samo do niéj jeździli, tak posłańców wysyłali, jak wtedy, kiedy żyła Anulka.—Co się daléj działo, już zupełnie nic nie wiedziałem, bo Bogiem a prawdą, z siwemi włosami to i pamięć z głowy ucieka, chociaż sercosko zawdy jedno.— Aż dopiero będzie temu z tydzień, kiedy mnie pan zawołał do dworu, i rzekł:

—„Do Malikowa posyłam fury po różne graty, potrzebuję do nich dozorcy, bo wiesz mój Janie, że parobków samych za oczy z dobytkiem posyłać nie można.— Jeżeli możesz, jedź mój Janie, a przytem zobaczysz się z państwem Kaliną, i z Marysią Wojcieszanką, bo radziby się z tobą zobaczyć.“

Bzdurna to była rzecz, więc nie wypadało mi się panu sprzeciwiać, i wybrałem się zaraz na drugi dzień, ciesząc się, że i panu dogodzę, i zobaczę się z ludźmi, com ich oddawna nie widział.— Przed samym wieczorem stanęliśmy w Malikowie.— Ja z listem zaraz zaszedłem do dworu, a że znałem dobrze wszystkie w nim kąty, więc wiedziałem, kaj się mam obrócić.— Kiedy wszedłem do przedpokoju, nie zastałem nikogo, więc se stanąłem na boku, i czekam.— Niedługo doleciało mnie z drugiego pokoju jakieś śmianie, jakaś gadka, ale nie mogłem nic zmiarkować, bo nie po naszemu ją prowadzono, i otworzyły się drzwi, i wszedł jakiś pan młody, przystojny i z jakąś panią takiéj śliczności, że, moi ludzie, zdało się, iż słonko stanęło w pokoju, co taka uroda od niéj zaświeciła. Owi państwo trzymali się pod ręce, i w śmianiu, w żartowaniu, i w całowaniu, to ona jego, to on ją, przeszli wedle mnie niedaleko, ale mnie nie postrzegli.—Ja skłoniłem się do saméj ziemi, jak wypada przed państwem, i pomyślawszy sobie:— „że ponieważ gdzie się dwoje całuje, to trzeci tak potrzebny, jak piąte koło u wozu“— chciałem się wynieść do sieni, ale jak ino zachrobotałem drzwiami, oboje państwo zapytali:

—„A zkądto jesteście człowieku?

—„Z Marusic, proszę Wielmożnych państwa“—odrzekłem, przyjechałem z furami, i szukam samego pana, bo mam do niego pismo, a jutro.....“

Dalszą gadkę przerwała mi ta pani, bo przyskoczyła do mnie, chwyciła mnie za rękę, i zawołała z wielką radością.

—„To wy Janku?— ah! jakże się macie?— jakżem szczęśliwa, że was widzę.“

—„A jużcić jam Janek“ prosze wej pani“— odrzekłem ze zdziwieniem, że mnie taka pani zna tak dokumentnie—i kłaniając się, mówiłem daléj—„ale może Wielmożna pani pyta się o innego Janka, bo ja z przeproszeniem państwa, ale wej pani całkiem nie uznaję.“

—„Jakto?“— zawołała ta pani—„ to nie poznajecie Marysi Wojcieszanki?

—„Marysi Wojcieszanki“— ze zdziwieniem powtórzyłem— „to Wielmożna pani byłaby... córka...

—„Tak— mój Janie, jestem Marysia, córka Wojciecha, parobka dworskiego, a to mój poczciwy mąż“— odrzekła, wskazując na owego mężczyznę—„który, jak widzicie i urodny i młody, i bogaty, nie wstydził się wziąć sierotkę chłopską za żonę, i zrobić mnie tak szczęśliwą,

że ino o jedno proszę Boga, żebym mogła poznać poczciwego mego ojca.“

—„Oj! zapewne że poczciwy“— odrzekłem— „bo jać rodzica Wielmożnej pani tak znam, jak siebie samego.—Ale Wną panią choć znam od maluśkiego dziecka, to równie, aniby mi przez myśl przeszło, że Wna pani to ta sama.... ta.... ta....“

—„Mała Marysia“— dokończyła za mnie sama pani, widząc, że jakoś nie śmiem tak poufale o niéj powiedzieć.— Potem to jeszcze długo rozgadywaliśmy się z sobą, ale jak gadka szła, to niczyja głowa, żeby mógł takie rzeczy opisać, bo to jużcić o tem, już wnet o czem innem, i tak w kółko.—Ja jednak, co byłem rzeczy świadom, to dowiedziałem się z naszéj rozgadki, że jak Anulka córka państwa Kalinów umarła, tak Marysia została jeszcze cosić dwa lata w mieście na nauce, a potem dopiero na piękne zjechała do Malikowa.— Bez ten czas tak się odmieniła dla oczów ludzkich, że ją mało kto poznał, ale w sercu zawdy pozostała jedna, a że jéj Pan Bóg nie odmówił i urody, i zgrabności i *adukacyi*, więc różnych paniczów do zalotów nie brakło.— Ale Marysia strasznie była przebierna, o żadnym nawet se wspomnieć nie chciała, i choć chłopska córka, ale tak w ryzie umiała każdego utrzymać, że niejeden przy niéj to i języka w gębie zapomniał.— Aż wreszcie na jakimsić balu poznał ją wtedy jeden pan Władysław, i zaczął wedle Marysi zacharować, jak zaczął zalicać się, po rączkach całować, a cosić po cichu wywodzić do ucha, bić się w piersi i zaklinać, tak na piękne oczarował dziewuchę, i niedługo wynikło z tego wesele.— Ot i tym sposobem Marysia została wielką panią, bo p. Władysław miał cosić ze cztery wioski, a jakie konie, jakie powozy, jaką liberyę, to wszystko śliczności!— Państwo Kalinowie Marysię już prawie za swoję corkę uważali, a ktoby nie wiedział wszystkiego od początku, toby nigdy nie zmiarkował, że to nie ich dziecko, a jeszcze bardziéj, że ze wsi pochodzi.—Poczciwa to jednak była pani, bo nietylko nie wstydziła się swego pochodzenia, ale ojca to prawie z myśli nie wypuszczała, i zawdy do niego gadkę szykowała.

Na takiéj rozgadce zeszło czasu co nie miara, późniéj przyszli oboje państwo Kalinowie, a gdy wynieśli stół na ganek, i z nakryciem do kolacyi, ja się skłoniłem, i chciałem odejść, ale pan rzekł:

—„Posiedź troszkę Janku—ot pogaworzymy z sobą.—Powiedzże mi, jakże ci się tam powodzi?—Czy jesteś dziadkiem?

—„Przy woli Boskiéj“—odrzekłem— „idzie mi ta nieostatnio, a dziadkiem jestem Wielmożny panie od miesiąca.

—„Toś ty szczęśliwszy mój Janie, i lepsze masz widać dzieci, niż są moje“— odrzekł pan uśmiechając się, i po młodych małżonkach poglądając.— „Pamiętam, Wojciech to zawsze we wszystkiem szedł za mną, tylkośmy się o rok z sobą mijali.“

—„Ej! Wielmożny panie“— rzekłem—„żeby teraz Wojciech wrócił z wojska, toby się dopiero ucieszył, jakby zobaczył Wną panią, w takiem szczęściu i w takiem państwie.

—„Oj! prawda mój Wojciechu, a chociaż już blisko lat dziewiętnaście, jak poszedł do wojska, i nie dał o sobie żadnéj wiadomości, ja jednak mam nadzieję, że powróci.“

—„Daj Boże“—odrzekłem, wzdychając.

—„O! daj to wielki Boże!— powtórzyła dawna Marysia.

Zaledwieśmy te słowa wymówili, pies szczeknął w podwórzu i przyszedł sołtys, znacie go dobrze, Walek Wyrwas, skłonił się, i rzekł:

—„Przyszedłem tu do Wielmożnego pana po radę, bo przyszedł do mnie jakieś żołnierzysko z*palitem*, i duchem kazał się prowadzić do dworu.—Ja mu przekładałem że nie można, ale on póty się napierał, ażem go nareszcie i sprowadził.— Powiada, że idzie z jakiegoś *Wastopola*, co teraz wojnę prowadzą. . . .

—„A to może mój ojciec“— głośno zawołała dawna Marysia—„o Boże!

— „A może — a może“ — powtórzyliśmy wszyscy—„może że to Wojciech.“

—„Ej! nie, to nie Wojciech“— odrzekł sołtys, i kłaniając się dawnéj Marysi, mówił daléj—„ja przecież rodzica Wnéj pani znałem dobrze, tobym go poznał zawdy, bo miał znak na twarzy od podkowy końskiéj, a ten ma kresę przez całą twarz, ale równie jakiś człek tutejszy, bo mnie nazwał po imieniu, i pytał się o Wojciechową, matkę Wnéj pani, co już dawno na Boskim sądzie.“

—„O matkę się moję pytał?“—drżącym głosem, nikiéj napół z płaczem, zapytała dawna Marysia— „o mój Boże! to on pewno wie, co o

moim ojcu—mój Walenty sprowadźcie go tutaj.“

Niedługo sołtys stanął z owym żołnierzem przed nami, lecz nie był to Wojciech, ale jakiś inny człowiek, bo przecież Wojciecha znałem dobrze.—Dawnéj Marysi tchu i mowy zabrakło, co tak po nas rzucała oczami, żeby z nich poznać, co my myślimy.—Żołnierz ubrany w płaszczu swoim i z tornistrem na plecach, z odkrytą głową, stał wyprostowany, jak przed starszym, i z ciekawością poglądał po wszystkiem państwie.—Kiedy tak zeszła mała chwilka, pan się odezwał:

—„A i cóż, mój bracie, powiesz mi dobrego?—zkądże wracasz?

—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“—odrzekł żołnierz.

—„Na wieki wieków amen“— odpowiedzieliśmy wszyscy, a pan zerwał się ze stołka, i ściskając żołnierza, odezwał się:

—„Wosiu, poczciwy Wosiu, jak się masz?

—„To mnie poznał Wielmożny pan?“

—„Poznałem po głosie, mój Wosiu poczciwy— patrz oto twoja córka, a to zięć twój Władysław, a chociaż odbierasz mi dzieci, ale się cieszę, bo cię kocham, jak brata swego.“

Po tych słowach, już dawna Marysia wisiała u szyi ojca swego, i ino płaczem i śmiechem serdecznym mówiła do niego.—Obok stał Władysław jéj mąż, i choć taki pan, a całował teścia po ręku, i przyciskał ją do piersi, a Wojciech ocierał oczy, i mówił.“

—„Jakto?— taka pani, to moja córka, a ten pan, to mój zięć?—o mój Boże, tyla pociechy....“

—„Tak—tak—ojcze! my twoje dzieci.“

—„I nie wstydziliście się starego żołnierza, prostego ze wsi chłopa?

—„O! mój Boże!— nie było dnia, żeby my o tobie ojcze nie mówili.“

Po tych słowach Wojciech ukląkł na ziemi, przy nim córka z zięciem, i głośno rzekł:

—„Wielki Boże!—Dziękuję ci za to szczęście, jakiem w dniu tym obdarzyłeś niegodnego swego sługę.— Błogosław Boże, dobrych państwa, co sierotki mojéj nie opuścili, i błogosław poczciwe dzieci, co się mnie biedaka nie powstydzili, i przytulili do siebie, jak swego ojca.“

Co ta potem się działo, co było wypytywań i rozgadek, to już wam tego nie opowiem, dosyć, że potem Wojciech w koczu przy liberyi pojechał na mieszkanie do swoich dzieci, a ja kiedy odjeżdżałem, to mi pan rzekł:

—„Widzisz Janie, że opieką swoją nad Marysią nie popsułem jéj, że nie gardzi ani wami, ani ojcem nie pogardziła, jak to kiedyś mówiliście do mnie.— A wiesz dlaczego?— Oto dlatego, że naukę nietylko kładłem jéj do głowy, ale i do serca, i zawsze uczyłem, że jesteśmy wszyscy dziećmi jednego Ojca Boga, i że dla tego powinniśmy się wszyscy, jak bracia i siostry kochać.

———

Rozmowa na Nowym Świecie w Warszawie.

—

— Proszę pana, po co to ludzie tak się cisną do tego sklepu?

— Po chleb— bo tu sprzedają chleb taniéj, i oto właśnie przywieźli go w téj skrzyni wielkiéj.

— Ten piekarz musi go mało wypiekać, kiedy tak ludzie się tłoczą—a mnie się zdaje, że kiedy kto swój wyrób taniéj oddaje, to zapewne na ilość rachować musi.

— To nie piekarz piecze, ale Bank, zakład rządowy, co to wziął młyn parowy po Steinkelerze na Solcu; teraz wybudował tam wielką piekarnię ulepszoną, tak więc ma swoję piekarnię, swój młyn, nie patrzy przytem piekarskiego zysku, i dlatego biednym ludziom, przy takiéj drożyznie w pomoc przychodzi.

— Szkoda, że ten Bank tylko dla Warszawy tak chce dobrze czynić, a nie pomyśli o nas, co to po miasteczkach i wsiach mieszkamy, i gdzie także jest bieda.— Człek, jak pośle po chleb do miasteczka, to się aż serce kraje, bo to i drogi i źle wypieczony, żal się Boże pieniędzy płacić za taki klajster.

— Mój przyjacielu—nie razem Kraków zbudowany;— poczekajcie no, jak Bank zupełnie swój zakład piekarski rozwinie w Warszawie i więcej chleba wypiekać będzie, to pokaże, jak z niewielkim kapitałem można oszczędną, mniejszą, lecz ulepszoną piekarnię założyć;— a wtedy znajdą się ludzie powodowani dobrem bliźniego i swojém własném, co pożyczą, założą potrzebny fundusz dla miasteczek— także może i obywatele pomyślą o tem dla swych wiosek. Bo dla wsi byłby to czysty zysk, przypuściwszy np. że każdy gospodarz u siebie chleb piecze, ileż to czasu zmitręży w młynie za mlewem, ile czasu jego gosposia przy wypieku, wtedy gdy narzekają na brak rąk do pracy, a

ileto drzewa się zużywa na tyle dymów wiejskich,—gdyby zaś we wsi był piec ogólny pod nadzorem dworu, lub Wójta, i dobrze urządzona piekarnia, w któréj z kolei każda gospodyni doglądała pieczywa dla wszystkich, rozumie się, ze zboża zsypanego stosunkowo przez gospodarzy, i razem zemlonego.

— Oj, prawda pani— dobrzeby to było, szczególniej na wiosnę, i latem, gdy robota pilna w domu.— A o wiele to tańszy chleb bankowy, i czy Bank na tém nie traci?

— Chleba bochenek trzy funtowy tańszy jest o groszy dwa, lecz Bank na tém nie traci, bo, jak ci powiedziałem, lepiéj urządził swoję piekarnię, aniżeli inni piekarze, zbudował oszczędniejszy piec, sprowadził machinę co ciasto wybija, przez co mniéj rąk do roboty potrzebuje.

— A to co innego, proszę pana.—Któżby to na wsi kupował machiny do roboty chleba, trzebaby się naprzód uczyć, jak z nią obchodzić.

— To bardzo prosta machina, nie potrzebuje prawie żadnéj nauki w obchodzeniu.— Jest to naczynie walcowe, tak np. jak głęboka niecka, a wewnątrz niego porusza się krata obracana korbą.— Wlewa się do środka przygotowany kwas, wsypuje mąka, sól, leje woda, i silny człowiek kręcąc korbę, w kwadrans wybije ciasto na chleb, naraz z całego prawie korca mąki. Im więcéj ciasta się wypieka, tem użyteczniejszą być może, bo oszczędza wiele pracy, przyspiesza wypiek, a przytem daje wielką czystość.— Nazywają tę machinę *dzieżą mechaniczną.*

— A czy to takie dzieże sprzedają?

—Dotychczas nie sprzedają—ale na zamówienie to łatwoby w Warszawie zrobili.— Czy chciałbyś kupić?

— A na cóżby mnie się zdała, gospodarzowi na włóce gruntu, ale pomyślałem sobie, że jeżeli są gotowe, tobym je obejrzał, rozpytał się o cenę. a wróciwszy do wsi, poszedłbym do naszego plebana i powiedział o wszystkiem; on mądry człowiek, toby może z tego pożytek wyciągnął, do pana trafił, i wyszłoby co dobrego dla całéj gromady.

— Poczekajno mój przyjacielu!— Jak będziesz o tém mówił z Plebanem, lub może z panem, którzy chcą przyjść wam w pomoc, to pamiętaj dodać, że zakładając gromadzką piekarnię, potrzeba pamiętać o budowie pieca; najlepiéj, żeby ktoś przyjechał do Warszawy, i przywiózł swego mularza.— Bo te piece różnią się od zwykłych, drzewo nie pali się na trzonie, jak w dawnych, ale opał, czy to drzewo, czy węgiel kamienny, czy torf ma osobne ognisko, tak że płomień i dym krążą tylko po kanałach otaczających trzon, rozgrzewają go tak, że może chleb ciągle i w wielkich ilościach wypiekać.

Dałbym ci rysunek i pieca, ale to na wiele się nie przyda, bo wasi wiejscy mularze z samego rysunku, bez dokładnego poznania szczegółów, trudno aby coś dobrego postawili.— Najlepiéj więc, aby ktoś znający się na tem, przyjechał do Warszawy; powiedz mu, niech wprost dowie się do mnie, pana X. a mieszkam w młynie Parowym, tam chętnie wszystko mu pokażę, i potrzebne dam objaśnienia.

— Bóg zapłać— powiem to wszystko naszemu kochanemu Plebanowi, który dba o dobro swojéj gromadki, zbiera nasze dziatki, uczy je religii, czytać, śpiewać — a kto dzieci lubi, to i o rodzicach pamięta. — On może z tego zrobi jaki użytek.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Baltazar, 14 letni chłopiec pozostawał w terminie u siodlarza na Grzybowie. Dobry, pracowity, usłużny, od wszystkich był lubionym. Majster bardzo był kontent, bo darmo chleba nie zjadał, i wielką już był pomocą w warsztacie. Lecz biedny Baltazarek miał ciężkie zmartwienie: Matka jego, uboga wyrobnica, od miesiąca już blisko leżała chora, bez żadnéj pomocy, i w okropnym niedostatku. Chłopczyna płakał i modlił się gorąco, ale sam nic poradzić nie mógł. Słabość duże za sobą pociąga wydatki, chociaż więc pani majstrowa i posłała co matce niekiedy, wszystkiego było mało, a tu co najgorsza jeszcze, komorne niezapłacone, i nielitościwy właściciel z domu chciał wyrzucić biedną, chorą kobietę!

Nieszczęsny chłopczyna wstał pewnego dnia bardzo rano, ubrał się, i poszedł matkę odwiedzić. Zabawiwszy tam chwilkę, o 5éj godzinie wracał już z pod Jerozolimskiéj rogatki, smutny i zapłakany. Gdy doszedł do gmachu kolei żelaznéj, właśnie przybył spóźniony pociąg od granicy. Mnóstwo podróżnych zaległo plac przed banhofem, szukając sposobu dostania się do środka miasta. Baltazar z ciekawością przy-

patrywał się temu ruchowi, a wtem jakiś pan podając mu torbę podróżną i pudełko, rzekł: „Zanieś mi to, mały, na Krakowskie przedmieście, to dostaniesz na obarzanki.“— Usłużny chłopczyna porwał z ochotą podane mu przedmioty, i pospieszał jak mógł za panem. Przez drogę podróżny pytał Baltazara zkąd jest, czem się zajmuje i czego tak płakał przed chwilą. Chłopiec ze szczerością odpowiadał na wszystkie pytania, a gdy doszedł do słabości matki i niemiłosiernego gospodarza, zalał się znowu rzewnemi łzami, tak, że mówić już daléj nie był w stanie.

Gdy przybyli do hotelu Gerlacha, podróżny pan odebrał swoje rzeczy, a dostawszy z kieszeni pugilares, wydobył z niego dwudziestozłotowy papierek, i podał zdziwionemu malcowi, mówiąc: „Masz, zanieś to twéj matce na zapłacenie komornego i powiedz jéj, niech się nie martwi, bo to bardziéj jeszcze zdrowiu jéj zaszkodzi.“

Uradowany Baltazar z całych sił biegł znowu pod Jerozolimską rogatkę, aby pocieszyć chorą.—Krótko tam bawił, lękając się gniewu majstra, lecz gdy powrócił do domu i opowiedział swe zdarzenie, pan zamiast go łajać, pochwalił owszem synowską jego czułość, dla któréj snu sobie odmówił i rzekł z uśmiechem, głaszcząc go pod brodę: „tak to zawsze mój kochany:

Kto rano wstaje,
Temu Pan Bóg daje.

Krzyż na niebie.

Któż z nas nie cierpi na ziemi?—Kto nie ponosi strat, zapełniających serce boleścią? Ale balsamem na te cierpienia i bóle, jest wiara nasza święta, i ufność w miłosierdzie Boże; czego właśnie sama niedawno doświadczyłam.

W dniu 25 Lipca r. b. o godzinie wpół do dziewiątej rano wyszłam na miasto za interesami.—Zatopiona w smutnych myślach, przechodziłam przez Krakowskie-Przedmieście, i mało zważając na ludzi idących ulicą, przemyśliwałam tylko, jakby sobie osłodzić gorzkie codzienne życie, umilić pracę, i ulżyć ciężar obowiązków moich. Wtem spostrzegłam ludzi, gromadami zatrzymujących się, z uwagą i wzrokiem zwróconym na niebo. Zatrzymałam się; w téj chwili zobaczyłam na pogodnym firmamencie jasny, wolno swój kształt zmieniający, krzyż. Widok ten tak był rozczulającym, że niejedno serce upadłe pod ciężarem życia, mogło się dźwignąć nazad pod wpływem słodkiego rozrzewnienia.

Jakoż widoczny znak krzyża przejął duszę moję uczuciem miłości Bożéj, i wznowił w méj pamięci całą wielkość naszéj wiary.—Przebaczyłam ludziom niesprawiedliwość, i na widok tego męczeńskiego znaku, uznałam małość moich czynów, i słabość własnego serca. Pogodziłam się więc z sobą i światem, z pracą i cierpieniami, i uspokojona wróciłam do domu.

Znak ten na niebie wiele najrozmaitszych zdań wywołał, i kto tylko widział, tłumaczył według swego widzi mi się. — Ale gdybyśmy wspólnie wniknęli w jego tajemnicę, i jednym głosem zawołali: „Bóg żąda poprawy—a krzyż Pana woła do ludzi: otwórzcie serca bratnie dla siebie, miłujcie się pomiędzy sobą, nie szarpcie niewinnie cudzego imienia, nie prześladujcie się nawzajem, nie róbcie krzywdy jedni drugim.“ Krzyż ów, w miejsce przepowiedni kary, stałby się ludziom dowodem łaski Bożéj!

Przypowieści.

1. Twarz łacno wynurzy, co w sercu burzy.
2. Nie zawsze sporo, co bywa skoro.
3. Wesoło ten tańcuje, komu szczęście przyśpiewuje.
4. Kto sobie cudze szczęście cukruje, ten swoje bardzo gorzkie uczuje.
5. Obmawiać nieprzytomnego, równie, jak bić umarłego.
6. Kto spada z wysoka, nałamie boka.
7. Niedźwiedzia gdy przemożesz, za nos wodzić możesz.

W drukarni J. Ungera. — Wolno drukować. Warszawa d. 1 (13) sierpnia 1856 r. — Starszy cenzor. F. Sobieszczański.